

**BOLESŁAW
PRUS**

OMYŁKA

Bolesław Prus

Omyłka

«Public Domain»

Prus B.

Omyłka / B. Prus — «Public Domain»,

Gorzkie rozliczenie z powstaniem styczniowym. Czas powstańczej zawieruchy widziany oczami dziecka. Świat Antosia kręci się wokół domu, matki, niani i nauki. Jego kilkanaście lat starszy brat studiuje w mieście medycynę. W okolicy panują nastroje patriotyczne, potajemnie śpiewane są zakazane pieśni. Nauczyciel, pan Dobrzański, wpaja Antosowi, że trzeba kochać wszystkich, poza zdrajcami. Podsyca tym fascynację chłopca mieszkającym w pobliżu samotnym starcem, o którym wieść niesie, że jest szpiegiem. Wybuch powstania, losy rodziny chłopca splatają się z losami mężczyzny uznanego za zdrajcę. Prus, który sam w młodości brał udział w powstaniu styczniowym, porusza trudne, wciąż aktualne tematy. Pyta o naturę bohaterstwa i zdrady, odwagi i patriotyzmu. Czy wyrażanie wątpliwości i sprzeciwu wobec zrywów narodowych to zdrada, czy obowiązek obywatelski? Czy ogół zawsze ma rację? Czym się kierować przy ocenie innych? Odpowiedzi mogą okazać się nieoczywiste i bolesne.

© Prus B.

© Public Domain

Содержание

Конец ознакомительного фрагмента.

15

Bolesław Prus

Omyłka

Dom mojej matki stał na brzegu miasteczka, przy ulicy obwodowej, wzdłuż której mieściły się budynki gospodarskie, sad i ogród warzywny. Za domem ciągnęły się nasze grunta¹, zawarte między drogą boczną i pocztowym gościńcem. Ze strychu, gdzie znajdował się pokój brata, w zwykłym czasie napełniony rupieciami, można było widzieć z jednej strony kościół, rynek, żydowskie sklepiki i starą kapliczkę św. Jana, z drugiej – nasze pola, potem olszynę, dalej głębokie wąwozy zarośnięte krzakami, wreszcie – samotną chatę, o której ludzie wspominali z niechęcią, a niekiedy z przekleństwem.

Miałem wówczas lat siedem i chowałem się przy matce. Była to kobieta wysoka i silna. Pamiętam jej twarz rumianą i energiczną, kaftan podpasany rzemieniem i pukające buty. Mówiła głośno i stanowczo, a pracowała od rana do nocy. O świcie była już na dziedzińcu i oglądała krowy, konie, kury – czy nie dzieje się im jaka krzywda i czy dostały jeść. Po śniadaniu szła w pole, zbaczając do chorych, których w miasteczku nigdy nie brakło. Gdy wracała do domu, czekali na nią różni interesanci: jeden chciał kupić bydlatko, drugi pożyczyć zboża lub pieniędzy; ta radziła się o kaszlące dziecko, a tamta przyniosła na sprzedaż garstkę lnu. Prawie nie mogę wyobrazić sobie matki samotnej; zawsze kręcili się przy niej ludzie i jak gołębie przy gołębniku, prosząc o coś lub za coś dziękując. Ona w całej okolicy wszystkich знаła, wszystkim pomagała i radziła. Rzecz, zdaje się, niegodna wiary, a przecie tak było, że nawet ksiądz proboszcz i pan burmistrz przychodzili zasięgać jej zdania. Ona rozmawiała z nimi, robiąc pończochę, a następnie, jak gdyby nic, biegła doić krowy. Umiała też w razie potrzeby zaprząć konie do wozu i wyjechać po snopy, a nawet drzewa narąbać. Wieczorami szła bieliznę albo łątała moje odzienie; w nocy, gdy psy mocniej ujadają, zrywała się z łóżka i, ledwie odziana w gruby szlafrok, obchodziła budynki. Raz wystraszyła złodzieja.

Chłopi, panowie, dzieci, chorzy, zwierzęta, drzewa, nawet kamień przy wrotach – wszystko ją obchodziło. Tylko o chacie stojącej za naszymi polami nie wspominała nigdy. Jej mieszkańcy musieli być bardzo zdrowi i szczęśliwi, gdyż mama wcale nie zaglądała do nich.

Ojciec mój od kilku lat nie żył; pamiętam go o tyle, że co dzień ofiarował Bogu pacierz za jego duszę. Raz, kiedy był bardzo senny i poszedłem spać bez pacierza, pokazała mi się w nocy dusza ojca na ścianie. Była jasno-biała, niewielka, z formy podobna do duszy w żelazku². Złakłem się nadzwyczajnie i do rana przeleżałem z głową schowaną pod kołdrę. Nazajutrz powiedzieli mi, że to blask księżycy padał na ścianę przez serce wycięte w okiennicy. Od tej jednakże pory nigdy nie zapomniałem modlić się za ojca.

Miałem też brata o kilkanaście lat starszego ode mnie. Przypominam go sobie jak przez mgłę, ponieważ widziałem go zaledwie parę razy w życiu. Wiem, że nosił czarny mundur ze złotymi guzikami i szafirowym kołnierzem i że sposobił się na doktora.

Nieraz, zdjęty ciekawością, wychodziłem na strych, ażeby przez najwyższy dymnik zobaczyć stolicę, gdzie uczył się brat, a przynajmniej miasto, gdzie mama jeździła po kilka razy na rok. Nieraz śledziłem pocztową bryczkę, szybko jadącą w tamtą stronę. Bryczka i wiszący nad nią obłok kurzu ginęły w lesie, który wypełniał szczelinę między niebem i ziemią, a przede mną w dali stała tylko chata samotników, skulona i czająca się. Niekiedy słoneczne światło padało w jej okienka; wówczas nie mogłem oprzeć się złudzeniu, że widzę głowę dużego kota, który patrzy na mnie, jakby chcąc się rzucić. Ogarniał mnie strach i kryłem się za ramę dymnika, ciesząc się, że teraz nie zobaczy mnie potwór. Wnet jednak ciekawość przemagała obawę, znowu wyglądałem i zapytywałem się w duchu –

¹ grunta (daw.) – dziś raczej: grunty. [przypis edytorski]

² dusza w żelazku – daw. żelazko składało się z dwóch części: obudowy z rączką i z podstawą zwięzającą się łukowato ku przodowi oraz dopasowanego kształtem do obudowy wsadu, zwanego **duszą**, który rozgrzewano na piecu i umieszczano wewnątrz; całość była wykonana z żelaza (stąd dzisiejsza nazwa: **żelazko**). [przypis edytorski]

kto w chacie mieszka?... Czy to nie jest chałupka na kurzej nóżce, o której tyle słyszałem od przadek, i czy w niej nie siedzi czarownica zamieniająca ludzi w zwierzęta?...

Dzień za dniem upływał bardzo szybko. Ledwie wstał, już trzeba się było kłaść; ledwie się położył, już trzeba wstawać. Każdego prawie dnia chciałem coś zrobić, a gdy nadszedł wieczór, przypominałem sobie, że nic nie zrobiłem. Czas uciekał jak podróżni, na których niekiedy patrzyłem przez okno: mignęły konie, furman i nim poznałem, kto jedzie, już było widać tył bryczki. Mogę powiedzieć, że całe dzieciństwo spłynęło mi w jeden dzień.

Było jeszcze ciemno w pokoju, kiedy stara moja niańka weszła z brzemieniem drzew i cicho położywszy je na podłodze, zaczęła układać polana na kominku. Matka siedziała już na łóżku, szepcząc pacierz:

– „Zdrowaś panno Maryjo, łaski pełna”... A jak tam na dworze, Łukaszowa?

– Niczego – odpowiedziała niańka.

– „Pan z Tobą, błogosławionaś Ty”... A Walek już wyjechał?

– Już musi jest³ za wrotami.

W okamgnieniu matka była ubrana⁴ i zdjawszy ze ściany pęk kluczy z jelenim rożkiem, wyszła z alkierza. Z komina padły na pokój czerwone blaski, drzewo zatrzeszczało, ode drzwi pociągał rzeźwy chłód, a za oknami świergotały roje ptaków. Spojrzałem na klęczącą przed kominem Łukaszowę⁵. Stara kobieta w czepku z falbanami podobną była⁶ do sowy; zwróciła ku mnie twarz koloru drzewa i okrągłe oczy i śmiejąc się, rzekła:

– Już ci się chce zbytków!...

Udawałem, że śpię, lecz nagle ogarnęła mnie taka radość, nie wiem nawet z jakiego powodu, że zerwałem się z łóżka i jednym skokiem usiadłem na karku niańce.

– A cóż to za zgryzota z tym chłopczyskiem! – irytowała się baba, spychając mnie na podłogę.

– Idź zaraz do łóżka, ty sowizdrzale, bo się zaziębisz... Antoś! mówię ci idź, pókim dobrą⁷, bo pani zawołałam⁸.

Byłem znowu w łóżku. Wtedy niańka wzięła przed komin moją koszulę, aby ją wygrzać, a ja tymczasem zdjąłem nocną.

– Uuu!... ty bezwstydniku paskudny! – gniewała się – żeby też taki duży chłopiec goło chodził... Nie ma to w oczach ambicji za grosz... No, czegoż się znowu ubierasz w nocną koszulę, kiej⁹ ci chce włożyć dzienną?... Antoś, ustatkuj ty się!...

Potem brała moje majtki; były one zeszyte razem z kaftanikiem. A żeby ubrać się w nie, należało przez tylne wejście włożyć jedną nogę, potem drugą, a następnie wsuwać ręce w ciasne rękawy.

– Antoś! stójże spokojnie... – upominała niańka, zapinając mi na plecach cztery guziki. – Teraz se siadź, trza cię obuć. Antoś! trzymaj nogę prosto, bo ci pończochy nie włożę... O widzisz, znowu pęknięty trzewik i zerwany sznurek. Moje nieszczęście z tym chłopczyskiem... Antoś! nie kręć się, bo pani zawołałam. Stójże, włożę ci sukienkę. A gdzie pasik? Patrzajcie go, pasik w łóżku!... Jak będziesz taki dokucznik, to cię złapię kiedy i zaniosę do starego za olszynę. On ci da!...

– Oj! oj! a co on mi robi? – odpowiedziałem zuchwale.

– Nie bój się, nie takim on robił, co ich pogubił do śmierci. Niech Bóg broni każdego grzesznego...

– Ten stary?

– Już ci on.

³ *musi jest* (daw.) – na pewno jest. [przypis edytorski]

⁴ *była ubrana* (daw.) – dziś z M.: była ubrana. [przypis edytorski]

⁵ *Łukaszowę* (daw.) – dziś popr. forma B.: Łukaszową. [przypis edytorski]

⁶ *podobną była* (daw.) – dziś z M.: podobna była. [przypis edytorski]

⁷ *pókim dobrą* (daw.) – dziś z M.: pókim dobra. [przypis edytorski]

⁸ *pani zawołałam* (daw.) – dziś z B. (zam. D.): panią zawołałam. [przypis edytorski]

⁹ *kiej* (gw.) – kiedy, gdy; skoro. [przypis edytorski]

- Ten, co mieszka w chałupce?
- Jużci tak.
- Za naszymi polami?
- A ino.
- On sam mieszka? – pytałem zaciekawiony.
- Któż by z nim mieszkał? Od takiego to i złodziej ucieka.
- Cóż on za jeden?

– A lichy go wie, chorobę! Zdrajca i tyle. Tfu! w imię Ojca i Syna... – mruzczała baba, spluwając. – Ma kogo spotkać nieszczęście, lepiej niech jego spotka. Mów pacierz, dziecko, już śniadanie gotowe.

Ukląkłem i mówiąc pacierz, spluwałem za siebie jak Łukaszowa, bo mi wciąż na myśl przychodził niedobry człowiek, z którym nawet złodzieje nie chcą mieszkać.

Poszedłem do spiżarni ucałować ręce matki, a tymczasem Łukaszowa zaniósła mi do jadalnego pokoju sitny chleb i talerz żurku, zatartego czosnkiem i zasypanego kaszą hreczaną. Zjadłem go z pośpiechem i zaraz wybiegłem na dziedziniec wystrugać pałasz z gonta. Nimem wyszukał¹⁰ deseczkę, nimem wyostrzył nóż i zatamował krew ze skaleczonego palca, patrzę – a tu wlecze się pan Dobrzański.

„To nieprawda, ażeby już była jedenasta!” – pomyślałem rozgniewany i uciekłem schować się za stajnię. Lecz nim ochłonałem z prędkiego biegu, już słyszę niańkę, jak woła wniebogłosy:

- Antoś!... Antoś... pan nauczyciel przyszedł.
- Nie pójdę! – krzyknąłem, pokazując w tamtym kierunku język.

Wtem odezwała się mama:

- Antoś!... do nauki...

Boże, jaki byłem zły w tej chwili! No, ale co robić? Wszedłem spoza stajni i wlokłem się do domu, pragnąc, ażeby mi się droga wyciągnęła jak stąd do stolicy. I dziwna rzecz, droga istotnie trochę się wydłużyła.

Zajrzałem przez okno do pokoju jadalnego, myśląc, iż może stało się coś takiego, że pan Dobrzański zniknął. Gdzie tam. Siedzi przy stole jak straszycło, w swoim surducie, z wysoką czupryną, z kołnierzykami do skroni, z szyją długą jak biczysko, okręcone w czarną chustkę. Już wydobywa mosiężne okulary i zaciska je na nosie. Z prawej strony na stole czerwona chustka, z lewej – brzozowa tabakierka z rzemykiem... Boże, że też nie ma sposobu na takiego człowieka!... Przychodzi rano i po południu jak zmora, a ja nic zrobić nie mogę przez niego.

Wszedłem do pokoju i niedbale pocałowawszy w rękę pana Dobrzańskiego, zacząłem wyciągać z szuflady książki i kajety. Szło to bardzo powoli, lecz nareszcie – skończyło się. Usiadłem do lekcji.

Dziś już nie wyobrażam sobie, jakim sposobem wytrzymałem dwie godziny strasznej męki, nazywającej się lekcją. Byłem jak ptak przywiązany nitką za nogę. Ilem ja razy chciał zerwać się, wyskoczyć za okno i uciekać, gdzie oczy poniosą!... Kręciłem się, jakbym siedział na szczotce do czesania lnu, a niekiedy z rozpaczony tak machałem nogami, że m uderzał w dno stołu. Wtedy siwy surdut pana Dobrzańskiego, a później jego głowa, osadzona na wysokiej szyi, zwracały się w moją stronę. Czerwieniłem się i cichłem, czując nad sobą okrągłe okulary i niebieskie oczy, patrzące przez wierzch szkieł – i już byłem od świętej pamięci spokojny, kiedy pan Dobrzański zaczynał:

– A to co za hałasy? Nie wiesz, że jesteś na lekcji i powinienes zachowywać się jak w kościele? Mówiłem ci to już nieraz...

Potem brał tabakierkę z brzozowej kory, strzelał w nią palcami, ciągnął za rzemyk, zdejmował wieko, zażywał tabakę i znowu strzeliwszy z palców, kończył:

- Ośle jakiś!...

¹⁰ *nimem wyszukał* – konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika: nim wyszukałem. [przypis edytorski]

Zdaje mi się, że największą dla mnie mękę stanowiły długie przerwy w upomnieniach pana Dobrzańskiego. Z góry wiedziałem, co powie, dziesięć razy powtórzyłem sobie to samo w myśli, a on – dopiero zaczynał, przerywał i znowu mówił dalej. Ciągnęło się to bez końca.

Nareszcie pan Dobrzański brał długi kajet, liniował go kantówką i w pierwszym wierszu z góry wypisywał mi jako wzór do kaligrafii:

„Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie...”.

Temperował pióro, układał mi ręce i kajet na stole i przysuwał kałamarz.

Po czym obowiązany byłem ten sam wiersz przepisać sześć razy, głośno go powtarzając. Pan Dobrzański drzemał sobie teraz w fotelu, a ja śpiewającym głosem mówiłem:

„...Ojczyzno moja, ty jesteś...”.

– „Jak zdrowie!” – wrzasnąłem głośno.

Pan Dobrzański ocknął się.

– Dziękuję! – odparł poważnie. Zdawało mu się, że kichnął, więc utarł nos w czerwoną chustkę i znowu zażył tabaki.

Powtarzało się to prawie co dzień i stanowiło dla mnie jedyną rozrywkę przy lekcjach, tym bardziej, iż kaligrafia wypadła zawsze na końcu.

Zaraz po nauce jedliśmy razem obiad. Niekiedy gospodyni spóźniała się, więc po kaligrafii następowało jeszcze – powtarzanie na wrywki.

– Kto cię stworzył? – pytał pan Dobrzański.

– Bóg Ojciec.

– Do... brze. A ile jest części świata?

– Siedem: poniedziałek, wtorek...

– Źle, ośle!... Pytam o części świata.

– Pięć! pięć!... Europa, Azja, Afryka, Ameryka, Oceania...

– Do... brze. A sześć razy dziewięć?...

– Sześć razy siedem... sześć razy osiem... sześć razy dziewięć – pięćdziesiąt cztery.

– Do... brze. A kogo najbardziej powinieneś kochać na tym świecie?

– Boga, ojczyznę, mamę i brata, pana nauczyciela, a potem wszystkich ludzi.

– Do... brze – odparł pan Dobrzański.

Chcąc uwolnić się od dalszych badań na wrywki, raz zapytałem go:

– A Łukaszowę trzeba kochać?

– Mo... zna – odparł pan Dobrzański po namyśle.

– A Walka?

Nauczyciel spojrział przez wierzch okularów.

– Sam przecie mówiłeś, ośle jakis, że trzeba kochać wszystkich ludzi... Wszystkich.

Zwiesił głowę na piersi i po chwili rzekł głucho:

– Wszystkich... wyjąwszy tych, co nas zdradzili.

– A kto nas zdradził?

Pan Dobrzański jakby zaczerwienił się, wziął do ręki tabakierkę, lecz nagle postawił ją i odparł:

– Poznasz ich, gdy podrośniesz.

Z piersi jego wymknęło się westchnienie.

Musiała to być rzecz straszna, której mi nie wyjaśnił: zresztą, choć nic nie wiedziałem, czułem głęboki smutek na samą myśl o człowieku, którego nikt nie powinien kochać. Biedak ten mieszkał niedaleko nas, jego domek widywałem co dzień, lecz mimo to gdybym go kiedy spotkał na drodze, nie mógłbym zdjąć przed nim czapki i powiedzieć: „Dzień dobry panu, a dlaczego pan tak dawno nie był u nas?”...

Jego u nas nikt nie wyglądał.

Gdy zegar wykukał pierwszą, wchodziła niańka do naszego pokoju ze stosem talerzy. Książki i kajety w okamgnieniu znikaly ze stołu, a ich miejsce zajmował czerwony obrus w białe kwiaty i trzy nakrycia. Po chwili ukazała się mama, a za nią waza barszczu i salaterka grochu.

Pan Dobrzański przywitał się z matką, a gdy zupa już była rozlaną¹¹, powstał i odmówił modlitwę: „Pobłogosław, Boże, nas i te dary, które z Twojej świętej szczodroblewości pożywać mamy. Amen”.

Potem siadaliśmy i jedli, milcząc. Nim wnieśli drugą potrawę, mama zapytała:

– Cóż, panie Dobrzański, jak się dziś Antoś sprawował?

Nauczyciel pokiwał głową, popatrzył na mnie apatycznym wzrokiem i odparł:

– Tak... jak to on.

– A co słyhać na świecie?

Pan Dobrzański poprawił stojącego czuba włosów i rzekł nieco ożywiony:

– Mówią na poczcie, że Francuz zaczyna się ruszać.

– Czegóż on chce?

– Jak to czego, mościa dobrodziejko?... – zawołał stary głosem pełnym energii. – Cóż to pani nie wie? Wojny chce...

– A nam co z tego?

Pan Dobrzański rzucił się na fotelu.

– Och, nie gadałabyś pani takich rzeczy przy dziecku! Co nam z tego? Nam wszystko z tego, i basta...

– Zobaczymy, zobaczymy – odpowiedziała mama.

– Rozumie się, zobaczymy!... – powtórzył stary z uniesieniem. – Tu niedługo ludzie przestaną w Boga wierzyć! – dodał.

Oczy mu błyszczały, a na zwiędłą twarz wystąpił silny rumieniec. Wziął w rękę nóż i począł dzwonić w talerz.

– Dałby Bóg – rzekła znowu matka – żeby się wróciły dobre czasy.

– Niech no by nie dał! – mruknął starzec, zaciskając nóż w pięści.

Matka spojrzała mu ostro w oczy:

– Co pan mówi, panie Dobrzański?...

Nauczyciel z gniewem ujął się ręką pod boki:

– A pani co mówi?...

Może byliby się pokłócili. Szczęściem, niańka wniosła duży półmisek pachnącej kiełbasy z sosem i drugi – tartych kartofli ze słoniną.

Nastała cisza i przetrwała do końca obiadu, na zaokrąglenie którego mama i pan Dobrzański wypili po szklance piwa.

Niańka sprzątnęła półmiski. Powstaliśmy z krzeseł, a nauczyciel mówił:

– „Dziękujemy Ci, Boże, za posiłek nam udzielony; bądź błogosławion w darach i we wszystkich dziełach Twoich. Amen!”.

Szybko pocałowałem w rękę mamę i pana Dobrzańskiego i wybiegłem na podwórko. W chwilę potem, ukryty za płotem, widziałem, jak nauczyciel w wysokiej rogatej czapce dreptał ku swemu domowi, opierając się na zakrzywionym kijku.

W dni świąteczne, osobliwie podczas długich wieczorów, było u nas bardzo wesoło. Przychodził ksiądz proboszcz z siostrą, niziutki i okrągły pan burmistrz z żoną i trzema córkami, staruszka pani majorowa z dwoma wnuczkami, pan pocztmajster, kasjer, sekretarz magistratu i sekretarz poczty. Starsi siadali do kart, młodzi grali w loteryjkę, w cenzurowanego, w ślepą babkę, a wszystko z ogromnym krzykiem. Znudzili się tym jednak bardzo prędko, więc najładniejsza panna burmistrzówna, poprosiła pana kasjera, ażeby im zagrał do tańca.

¹¹ była rozlaną (daw.) – dziś z M.: była rozlana. [przypis edytorski]

- Dajcież mi państwo spokój – bronił się kasjer – nie wziąłem nawet gitary z domu.
- To pošlemy po nią! – wołały panny.
- Gitara jest już w kuchni! – odezwał się nieproszony.

Wszyscy w śmiech, pan kasjer chciał mnie pociągnąć za ucho, ale dwie panny schwyciły go za ręce, a tymczasem pan sekretarz wybiegł z pokoju i za chwilę przyniósł gitarę – w zielonej koszulce. Kasjer wciąż się bronił.

- Moi państwo – mówił – na gitarze nie gra się do tańca, to za poważny instrument...

Ale swoją drogą już próbował dźwięku strun i kręcił kołeczki.

Było pięć panien, a nas, kawalerów, tylko trzech; więc choć sprowadziliśmy do pomocy jeszcze pana pocztmajstra, niemało każdy miał roboty. Czasem moja matka, znalazzszy chwilę wolną od zajęcia przy kolacji, wyręczała pana kasjera w graniu, a on tańczył. Trwało to jednak niedługo, ponieważ panny mówiły, że mama grywa same stare polki i walce.

Na kolacją¹² podawano herbatę, zrazy z kaszą, czasami gęś pieczoną. Ogólnie jednak zadowolenie dosięgało szczytu wówczas, gdy wnieśli krupnik. Była to gorąca wódka z miodem, zaprawiona goździkami i cynamonem. Dostawałem i ja tego specjału pół kieliszka, a gdym wypił, robił się ze mnie inny człowiek. Raz zdawało mi się, że już jestem zupełnie dorosły. Zacząłem mówić *ty* panu sekretarzowi magistratu, później oświadczyłem się po cichu starszej wnuczce pani majorowej, a nareszcie – zacząłem chodzić na rękach tak ładnie, że zarumieniony pan burmistrz powiedział, iż jestem chłopiec nadzwyczajnych zdolności.

- To będzie wielki człowiek!... – wołał, uderzając ręką w stół.

Alem reszty już nie dosłyszał, bo mama w tej chwili kazała mi iść spać.

Była to dla mnie wielka zgryzota, gdyż po kolacji, na zakończenie wieczoru, pan kasjer śpiewał przy gitarze.

Pamiętam go jak dziś. Był to człowiek dość młody. Miał trochę niższe kołnierzyki aniżeli pan Dobrzański, ale za to wyższą czuprynę. Chodził w ciemnozielonym surducie z krótkim stanem, w niebieskich spodniach ze strzemiączkami i z fartuszkim i w aksamitnej kamizelce w pąsowe kwiaty. Na szyi nie nosił chustki, tylko halsztuch.

Stawiano mu krzesło na środku pokoju. Siadłszy na nim, zakładał nogę na nogę, dostrajał gitarę, odchrząknął i zaczynał:

Idę na szczyty Kaukazu,
Tak wyrok boski zażądał;
Może tam zginę od razu,
Już cię nie będę oglądał.

– Za pozwoleniem! – przerwał pan burmistrz. – Wyjrzyj no, panie sekretarzu, czy kto nie podsłuchuje pod oknem.

Pan sekretarz zapewnił, że nikt nie podsłuchuje, a pan kasjer po przygrywce śpiewał dalej:

Może pójdę do niewoli,
Między dzikie ludożerce, —
Któż mnie pocieszy w niedoli,
Jeśli nie ty, lube serce?...

W tej chwili średnia panna burmistrzówna trąciła starszą.

- To do ciebie, Jadziu – szepnęła.

– Moja Meciui! – zgromiła ją siostra, rumieniąc się.

¹² na kolację (daw.) – dziś: na kolację. [przypis edytorski]

Gdy pan kasjer skończył jedną pieśń – proszono go o drugą. Następowwała całkiem nowa przygrywka i wiersz:

Wiatrem i śniegiem pędzony,
Gdzie lecisz, ptaszyno mały?
Może zabłądzisz w te strony,
Które mnie dziecięciem znały?

Ach, powiedz mojej rodzinie,
Czy ich to nieszczęście smuci?
Uważaj, czy łza popłynie,
Gdy szepniesz – syn już nie wróci!...

– „Gdy szepniesz – syn już nie wróci”... – powtórzyła pani majorowa drżącym głosem. – Ślicznie! ślicznie! – wołała staruszka.

Po tej pieśni panny zgiełkliwie domagały się, ażeby śpiewał: „Lecą liście z drzewa...”.

Pan kasjer uderzył kilka nowych tonów na gitarze, znowu odchrząknął i śpiewał nieco niższym głosem:

Lecą liście z drzewa, (*ciszej*) co tam rosły wolne,
Na mogile śpiewa jakieś ptaszę polne:
Nie było, nie było, (*ciszej*) Matko, szczęścia w tobie,
Wszystko się zmieniło, a twe dzieci w grobie.

W pokoju było cicho jak w kościele, tylko pani majorowa szlochała. Nagle pan burmistrz schwyił się za głowę.

– Za pozwoleniem! wyjrzyj no, panie sekretarzu, na dziedziniec, czy czasem *ten*... nie podsłuchuje pod oknem...

Sekretarz wybiegł, a obecni coś szeptali między sobą. Na dziedzińcu nie było nikogo.

– No – rzekł, skończywszy, pan kasjer – teraz zaśpiewam państwu coś bardzo zakazanego.

– Bój się Boga, człowieku – przerwał mu pan burmistrz – nie gub zacnej kobiety, która nas tak gościnnie przyjmuje... – I wskazał na moją matkę.

Matka niedbale skinęła ręką.

– Ach! – odparła – niech robią, co chcą. Tyle naszego, że czasem piosenki wysłuchamy.

– Dobrze, że pani nic nie zrobią – mówił burmistrz – ale tu jest ksiądz proboszcz, urzędnik stanu cywilnego...

– Ja się tylko Boga boję – mruknął ksiądz.

– No, więc – ja jestem! burmistrz... a jeżeli mi się stanie co złego, kto będzie opiekować się moimi dziećmi?...

– Nie ma strachu – rzekł proboszcz. – Nigdy zresztą nie widziałem, ażeby *ten* tam... podsłuchiwał pod oknami.

– Nie potrzebuje chodzić pod oknami, bo jego dom stąd o trzy kroki – upierał się zmartwiony burmistrz.

– O wiorstę i dwieście sążni od poczty – wtrącił pocztmajster.

– Więc przynajmniej nie drzyj się pan, śpiewaj cicho – zwrócił się burmistrz do kasjera.

– Cóż znowu tatko mówi! – oburzyła się najstarsza córka. – Jak można taki piękny śpiew nazywać darcieciem się?...

– Już to pan prezydent kroi na naczelnika powiatu – wtrącił ironicznie pan kasjer. – Nie ma strachu, nie ma! Jeżeli kto, to ja powinien bym najpierw paść ofiarą...

– I padniesz, padniesz!... – odparł burmistrz. – *Ta* największy w mieście rewolucjonista – szepnął do księdza.

Pan kasjer, zadowolony publicznym uznaniem jego rewolucyjności, wyprężył nogi tak, że wydawały się jeszcze cieńsze niż zwykle. Utopił wzrok w starszej panie burmistrzównie i śpiewał półgłosem:

Już w gruzach leżą Maurów posady,
Naród ich dźwiga żelaza;
Bronią się jeszcze twierdze Grenady,
Ale w Grenadzie zaraza.
Broni się jeszcze z wież Alpuhary
Almanzor z garstką rycerzy¹³...

– Prześliczne! – zawołały panny chórem, patrząc na wywrócone oczy pana kasjera.

– Co to jest? – spytał niespokojnie pan burmistrz.

– Mickiewicz! – odpowiedział pan kasjer.

– Mic-kie-wicz?... Przepraszam państwa, ale – wychodzę! Ja – mówił pan burmistrz, bijąc się w piersi – ja zbyt wiele chcę zrobić dla kraju, ażeby miał ginąć za wiersze.

– Cóż pan widzisz złego w tej piosence? – zapytał niecierpliwie proboszcz.

– Co?... jegomość tak dobrze wie o tym jak ja! – odparł pan burmistrz. – A nuta?... Nuta, panie, jest taka, że gdyby mi ją zagrała kiedy kapela wojskowa, pierwszy, panie, wyszedłbym na rynek w czerwonej konfederatce. Tak! niechby mnie zastrzelili, porąbali, roztratowali...

– Czyś zwariował, Franiu! – krzyknęła pani burmistrzowa.

– Taki jestem! – wołał zaperzony prezydent. – W razie, czego Boże nie dopuść, wojny, wszystkie tutejsze zuchy wleżą w ką, ale ja pokażę, co umiem.

– Franiu! tobie się w głowie przewraca – mitygowała go żona.

– Jestem zupełnie przytomny – rzucał się pan burmistrz – ale chcę, żeby tu wszyscy wiedzieli, do czego dojdzie, jeżeli mnie podrażnicie! Jestem jak bomba, co dopóki leży spokojnie, można ją nogą kopać, ale rzuć iskrę... Chryste, ratuj!...

Mówiąc tak podniesionym głosem, pan burmistrz kręcił się jak bąk między krzesłami. O ile sobie jednak przypominam, jego niebezpieczne męstwo nie robiło wrażenia. Ksiądz proboszcz machał koło ucha ręką, a pan kasjer niedbale brząkał na gitarze, w takt wykrzykników pana burmistrza. Tylko moja matka życzliwie kiwała głową, a splekana pani majorowa wśród powodzi jego słów zdawała się zasypiać.

– No, moi państwo – odezwał się pan pocztmajster – czas do domu. Już dziesiąta.

– Czy być może? – zdziwił się pan kasjer, któremu, ile razy śpiewał, czas wydawał się za krótki.

Jakby w odpowiedzi, zegar wykukał dziesiątą. Panie były przestraszone tak późną godziną i wszyscy zabrali się do wyjścia.

Gdy niania, włożywszy mnie do łóżka, zgasła świece, zobaczyłem po raz drugi, jakby na jawie, całe wieczorne zebranie: ruchliwą figurkę pana burmistrza i żółte wstążki u czepka pani majorowej, i pana pocztmajstra, i pana sekretarza, i wszystkie panny. Goście kręcili się gorączkowo, rozprawiali, śpiewali, pan burmistrz straszył ich swoją odwagą, pan kasjer grał na gitarze, zupełnie jak w rzeczywistości. Ta tylko była różnica, iż między zgromadzonymi widziałem jakiś cień, niby owego człowieka, którego na próżno pan sekretarz szukał za oknem. Chciałem go wskazać matce, ale nie mogłem podnieść ręki. Cień tymczasem snuł się po pokoju, cichy, nieujęty i dla nikogo oprócz mnie niewidzialny.

¹³ *Już w gruzach leżą Maurów posady (...)* – fragment z *Konrada Wallenroda* Mickiewicza. [przypis edytorski]

Potem wszystko znikło, a gdy otworzył oczy, zobaczyłem przed kominkiem Łukaszową, która śmiejąc się do mnie bezzębny ustami, mówiła:

– Oho! już ci się chce zbytków...

To był ranek. Anim się spostrzegł, że już przespał noc po zabawie.

*

W połowie marca przypadały moje urodziny, od których zacząłem ósmy rok. Na kilka dni przedtem pan Stachurski, szewc, brał mi miarę na pierwsze buty. I właśnie kiedy zdjął trzewik dla poddania się tej operacji, zajechała przed nasz dom pocztowa bryczka i wysiadł z niej jakiś młody człowiek z listem do mamy od brata.

Nazwiska jego nie wiem do dziś dnia, ale na imię mu było Leon. Był to chłopiec może dwudziestoletni, śliczny jak obraz, wesoly i nadzwyczaj Ignący do ludzi. Mamę od razu pocałował w obie ręce i tyle nagadał jej wiadomości o bracie, że go prosiła, ażeby u nas zamieszkał na kilka dni. Jednocześnie, nim pan Stachurski zdążył mi wziąć miarę na buty, młody człowiek zaprzyjaźnił się z nim tak serdecznie, że nawet obiecał go odwiedzić w warsztacie. Potem, sprowadził się do pokoiku na górę i w ciągu kilku minut chyba oczarował Łukaszowę¹⁴, która za nim wniosła walizkę, bo nianka całe popołudnie mówiła tylko o nim. Panu Dobrzańskiemu, który przyszedł na lekcję¹⁵, dał jakieś niesłychane cygare, mnie na poczekaniu wystrugał wiatrak, a mamie powiedział sekret gotowania w domu piwa.

Po obiedzie wyszedł na miasteczko i wrócił późno wieczór. Toż samo robił przez cały czas swego pobytu. Widywaliśmy go rzadko i krótko, lecz mimo to tyle wszystkim robił usług, żeśmy przepadali za nim. Tylko mama miała mu trochę za złe, że wdaje się za pan brat z panem Stachurskim, szewcem, panem Grochowskim, stolarzem i panem Władzińskim, wędliniarzem. Ale pan Dobrzański wytłumaczył jej, że jeżeli ów młody człowiek przyjechał tu na zwiady – czy nie da się założyć w mieście sklep z korzeniami?... – to musi sobie skarbić przyjaźń nawet ludzi prostych.

Zdziwienie mamy jednak bardziej wzrosło, gdy zeszli się do nas na wieczór goście w dzień moich urodzin; okazało się bowiem, że pan Leon zna wszystkich. Już pan burmistrz obiecał go protegować, gdyby sklep założył, a pan pocztmajster miał mu nawet wynająć parę pokoiaków w swoim domu. Z sekretarzem magistratu i sekretarzem poczty pan Leon *tykał się*¹⁶, obie wnuczki pani majorowej rumieniły się, gdy do nich mówił, a tylko z panem kasjerem jakoś krzywo patrzyli na siebie.

Tańców u nas tego dnia nie było, ale pan kasjer miał gitarę i jak zwykle śpiewał przy niej. Któraś z pań zapytała pana Leona, czy on śpiewać umie. Grzeczny młody człowiek natychmiast wziął do rąk instrument, ale zaśpiewał na tak smutną nutę, że pan burmistrz uciekł przy pierwszych słowach i już się nie pokazał, wszystkie panie popłakały się, a pan kasjer pobladał ze złości.

Na drugi dzień rano pan Leon wyjechał, mówiąc mamie, że musi być jeszcze w innych miasteczkach, w celu wyszukania najlepszego punktu na swój sklep.

W końcu kwietnia, jakoś w sobotę, zajechał do nas pan Leon po raz drugi. Mamie przywiózł list od brata i książkę kucharską, panu Dobrzańskiemu paczkę tabaki, a mnie śliczny pałasz blaszany. Opowiadał, że pewno w tych czasach skończy interes ze sklepem, lecz że musi dokładniej rozejrzeć się w miejscowości. Potem wybiegł na miasto przywitać się ze znajomymi i wrócił do domu w nocy.

Nazajutrz, w niedzielę, poszliśmy na sumę¹⁷. Siedziałem z matką przed wielkim ołtarzem, obok państwa burmistrzów i pani majorowej, a o kilka kroków od nas stał kasjer, modląc się z książką.

¹⁴ *oczarował Łukaszowę* (daw.) – dziś: (...) Łukaszową. [przypis edytorski]

¹⁵ *na lekcję* (daw.) – dziś: na lekcję. [przypis edytorski]

¹⁶ *tykać się* – mówić sobie na ty. [przypis edytorski]

¹⁷ *suma* – długa, uroczysta msza, odprawiana w niedzielę około południa. [przypis edytorski]

Nabożeństwo już się skończyło i mieliśmy wychodzić, gdy nagle ze środka kościoła wysunęli się na przód zebranego ludu pan Stachurski, szewc, pan Grochowski, stolarz i pan Władziński, wędliniarz, a wraz z nimi ich czeladzie i chłopcy, tudzież sekretarz z poczty i sekretarz magistratu. Gdy zaś ksiądz proboszcz udzielił błogosławieństwa, pan Stachurski dał organiście jakiś znak. Zrobiło się cicho i...

...Nie pamiętam, co się stało dalej, ponieważ skutkiem tłoku i gorąca tak osłabłem, że mama wyniosła mnie z kościoła do mieszkania księdza proboszcza. Zastaliśmy tam pana kasjera, który biegał po pokojach, targając sobie włosy i przysięgając, że on temu nie winien. Prosił też mamę, ażeby w razie czego świadczyła, jako on pierwszy wybiegł z kościoła.

W domu czekał na nas pan Leon. Gdy mu mama opowiedziała o tym, co zaszło w kościele, był bardzo zdziwiony. Odparł jednak, że podobne wypadki trafiają się wszędzie, same z siebie, a potem dodał, że zaraz po obiedzie musi jechać. Pragnął bowiem wstąpić do kilku innych miasteczek, celem dokładniejszego zbadania, w którym z nich jego sklep może mieć najwięcej widoków.

Niezwykłe zachowanie się pana kasjera na plebanii na jakiś czas zachwiało jego reputacją, tym bardziej że niepospolity ten człowiek od owego dnia zarzucił swoją amarantową czapkę i wrócił do urzędowego fraka z żółtymi guzikami. Szczęściem, trwało to niedługo. Pan burmistrz bowiem, skombinowawszy w umyśle wiele szczegółów, zawnioskował, że wypadek w kościele był – dziełem kasjera, który jest tym niebezpieczniejszy dla ogólnego spokoju, że wybornie udaje niewiniątko. Sąd ten znalazł wiarę w miasteczku, gdyż pan kasjer zaczął znowu robić poważne miny, a panowie Stachurski, Grochowski i Władziński odzywali się o nim lekceważąco w miejscach publicznych. Było widoczne, że agitator ten, chcąc zabezpieczyć się od podejrzeń, wydał podwładnym swoim stosowną instrukcją¹⁸

¹⁸ wydał (...) instrukcją (daw.) – dziś: wydał instrukcję. [przypis edytorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.